

Elmer Jules Mandel

MUSZYNA MARII GOTTLOB - MOJA MUSZYNA WSPOMNIENIA

Podziękowania

*Wspomnienia zacierają się w pamięci, stąd — jeśli nie są zapisane — wiele informacji o ludziach, ich uczuciach i wydarzeniach, które wywarły wpływ zarówno na ich osobiste życie, jak i życie kolejnych pokoleń, mogą zniknąć z pamięci. Dlatego chcę wyrazić słowa serdecznej wdzięczności dla pani Bożeny Mściwujewskiej-Kruk i jej męża Ryszarda Kruka za zaproponowanie mi zamieszczenia moich wspomnień o Muszynie i o rodzinie Gottlob w dziesiątym, jubileuszowym wydaniu **Almanachu Muszyny**. Jestem także wdzięczny pani Marii Barabaś-Pyrć, pracownikowi muszyńskiej biblioteki, której w roku 1998 powierzyłem część kopii rodzinnych dokumentów, i która zainteresowała nimi panią Bożenę Mściwujewską-Kruk.*

Wstęp

W roku 1977, jako efekt publikacji powieści „Korzenie” autorstwa Alexa Haleya, który opisał historię swych afrykańskich przodków, przywiezionych do Ameryki na pokładzie statku handlarzy niewolników oraz historię kolejnych pokoleń w okresie ponad 200 lat, świadomość amerykańskiego społeczeństwa została zaszczepiona myśleniem o rodzinnej genealogii.

Moja matka, Mary Gottlob Mandel, wielokrotnie wspominała swoje rodzinne miasto: Muszynę w Polsce. Wspólnie z żoną Trudą, urodzoną w Wiedniu, której część przodków również pochodziła z Polski, oraz trójką naszych dzieci, podjęliśmy wyprawę w celu odwiedzenia miejsc, które wywarły wpływ na myślenie i uczucia naszych rodziców. Przybywając do Muszyny w burzową noc pod koniec sierpnia 1977 roku, na szczęście znaleźliśmy zakwaterowanie w jednym z sanatoriów. Następnego dnia spotkaliśmy pana Karola Rojnę, który zgodził się być naszym przewodnikiem. Znając osobiście moich dziadków, pokazał nam pustą parcelę, gdzie stał ich dom i opowiedział nam o ich losie w 1942 roku.

Moje wspomnienia są ukłonem nie tylko w stronę mojej matki oraz jej braci i sióstr, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, ale przede wszystkim w stronę jej rodziców i ich rodzeństwa — mojego dziadka i babci, ciotek i wujków, ich dzieci, mojego kuzynostwa i ich wszystkich żydowskich sąsiadów, którzy zamieszkiwali w swych domach w Muszynie, i którzy zostali unicestwieni w efekcie zdarzeń II wojny światowej.

Następna córka się rodzi

Wrażenie *deja vu*; gdzie podział się dom, gdzie sąsiedzi, gdzie moi dziadkowie? To było dziwne, ale poniekąd znane mi uczucie, którego doznawałem, oddychając muzyńskim powietrzem i przemierzając ulice Muszyny tego słonecznego sierpniowego dnia 1977 roku. A potem resztki wspomnień z przeszłości zaczęły nabierać niewyraźnych co prawda, ale realnych kształtów w mojej świadomości.

Sto lat temu, 13 lutego 1900 roku, w miasteczku Muszyna, zagnieżdżonym u podnóża Tatr nad rzeką Poprad, w południowo-wschodniej Polsce, wówczas północnej prowincji Austro-Węgier zwanej Galicją, urodziła się kolejna córka z matki Chaji Gottlob, córki Lejba i Sary Ryfki Gottehrerów, oraz jej męża Eliezera Gottloba, kupca, znanego w środowisku pod imieniem Lejzer. Należeli oni do dużej żydowskiej społeczności osiadłej w Muszynie od kilku pokoleń. Kumem był Elias Gottehrer, zaś świadkami Major Mengel i Mojżesz Rieger, wszyscy będący kupcami w Muszynie. Uczestniczyła także położna muzyńska, Julia Krakowska. Nowo narodzonemu dziecku nadano imię Mirjam, co zostało zapisane na stronie trzeciej rejestru pod numerem XX Żydowskiego Urzędowego Rejestru w Muszynie. Rejestry te aktualnie znajdują się w Urzędzie Stanu Cywilnego w Muszynie.

Eliezer i Chaja byli właścicielami i kierowali piekarnią oraz sklepem ze zbożem, w domu, który istniał pod numerem 240, na wschodniej stronie ulicy Kościelnej, zaledwie kilka kroków na północ od muzyńskiego Rynku, tj. przy ulicy biegnącej w kierunku Krynicy, odległej o 11 kilometrów. Chaja zajmowała się wypiekami chleba, a Lejzer prowadził sklep, chyba że przebywał na modlitwach w synagodze. W tym domu Chaja urodziła 12 dzieci, wymienionych tutaj z ich prawdopodobnymi lub znanymi datami urodzin i śmierci: Towa (Tillie) 1891-1974, Rajzl (Rose), Ruchel, Giza (Gittel), Dawid, Mosze, Dwojra, Lejb (Leonard) 1890-1964, Lewi (Lewis) 1896-1954, Mirjam (Mary) 1900-1987, Chana (Anna) 1904 -198?, i jedno dziecko, które zmarło w niemowlęctwie. Przy tak wielkiej rodzinie, co wówczas było zjawiskiem powszechnym, przestrzeń życiowa była bardzo mała, tak więc Rose, Tillie, Leonard i Lewi wyemigrowali z Galicji do Stanów Zjednoczonych jeszcze w okresie przed I wojną światową, aby dołączyć do członków rodziny, którzy przybyli tam wcześniej. Giza wyszła za mąż za Natana Hausstocka i przeniosła się do Nowego Sącza. Tylko jeden syn z ich sześciorga dzieci — Benjamin — przeżył zagładę rodziny podczas II wojny światowej. Wyemigrował do Sydney w Australii, gdzie ożenił się i wychował dwójkę dzieci.

Mirjam spędziła dzieciństwo w Muszynie, uczęszczając do miejscowej szkoły wraz z polskimi i żydowskimi rówieśnikami aż do piątej klasy. Kiedy była w okresie dojrzewania płciowego, prawdopodobnie uznano za niewskazane, by chodziła do szkoły koedukacyjnej; niestety nie dysponujemy informacją o istnieniu średniej szkoły dla dziewcząt w Muszynie w tym czasie. Jakby nie było, nauczyła się pisać i czytać po polsku i niemiecku, czyli w językach używanych w Galicji w okresie przed I wojną światową, a w domu zaś posługiwała się jidysz. Mirjam miała koleżankę o nazwisku Friedman w Leluchowie, z którą spędzała wiele czasu, spacerując po pięknej okolicy.

Dojrzewając, Mirjam wyrosła na piękną dziewczynę i przyciągnęła wzrok przystojnego młodego mężczyzny z Muszyny, z którym zaczęła się spotykać na randkach, spacerując po ukwieconym parku, znajdującym się obok Rynku. Jak później wspominała, jej ojciec zabronił jej spotykać się z tym młodym mężczyzną, jako że nie był on Żydem.

Wyjazd do Ameryki

Po I wojnie światowej, w roku 1919, Mirjam i jej młodsza siostra Chana wyjechały do Stanów Zjednoczonych, dołączając do braci i sióstr. Przybyły do Nowego Jorku na początku roku 1920. W urzędzie imigracyjnym imię Mirjam zostało zapisane jako Maria (Mary), zaś Chana jako Anna. Przez pewien czas mieszkały ze swą siostrą Tillie w Canton w stanie Ohio, około 50 km na południe od Cleveland, a następnie u innego kuzynostwa. Maria pracowała w fabryce zegarków, gdzie — jak wspominała — uczyła się angielskiego, porównując brzmienie słów w języku polskim i niemieckim, aby je lepiej zapamiętać. Moja matka, uzdolniona językowo, była zawsze chwalona za świetną amerykańsko-angielską wymowę, zupełnie bez obcego akcentu. Wszyscy byli zawsze bardzo zaskoczeni dowiadując się, że nie znała zupełnie języka angielskiego, przybywając do Stanów w wieku 20 lat.

Maria spotkała i koniec końców poślubiła Morrisa Mandela, krajana, kupca z Cleveland w stanie Ohio, w dniu 21 stycznia 1921 roku. Morris, który wyemigrował do Stanów Zjednoczonych w 1913 roku, urodził się w 1895 roku w Rychwałdzie, dzisiaj noszącym nazwę Owczary, położonym 7 km na południe od Gorlic, także w południowo-wschodniej Polsce, niedaleko od Muszyny. Maria i Morris w Cleveland zamieszkiwali w mieszkaniu położonym nad ich sklepem, w którym sprzedawali ubrania damskie i męskie, konfekcję i buty. Sklep położony był w robotniczej dzielnicy, w większości zamieszkaney przez imigrantów ze Słowenii i Chorwacji, ponadto przez Włochów i reprezentantów innych europejskich narodowości. Ich pierwsze dziecko urodziło się martwe, ale 12 maja 1925 roku urodził się im syn, któremu nadali imię Elmer Julius Mandel, odpowiadające hebrajskiemu Eljahu Jaakow. 1 lutego 1928 roku na świat przyszła córka Faith, zaś 21 czerwca 1936 roku urodził się drugi syn, Dawid. Dzisiaj, 75 lat później, kiedy zgodnie z kalendarzem chrześcijańskim wkraczamy w trzecie tysiąclecie, jestem szczęśliwy, że mogę odnotować część wspomnień o Muszynie opowiedzianych mnie, mojej siostrze i bratu przez naszą kochaną matkę, która, nawet będąc w stanie ograniczonej świadomości przed śmiercią w roku 1987, tęskniła, aby iść do domu jeszcze raz.

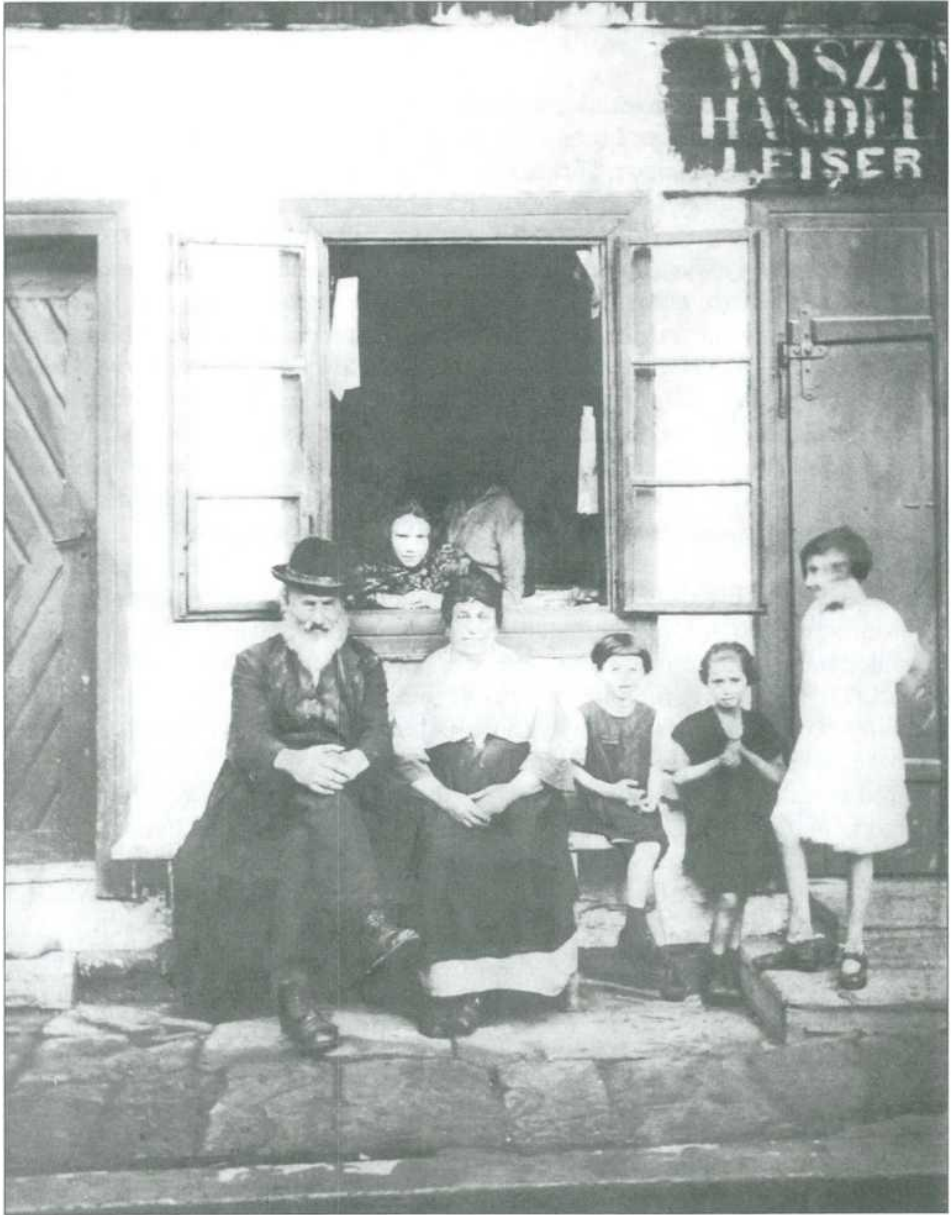
Wizyta w rodzinnej miejscowości mamy

Kiedy miałem dwa lata, moja matka zabrała mnie z wizytą do swych rodziców i rodzeństwa w Muszynie na trzymiesięczny letni pobyt. Z Nowego Jorku płynęliśmy statkiem pasażerskim „Majestic” do Paryża, do którego przybyliśmy w maju 1927 roku, czyli w tym samym okresie, kiedy Charles Lindbergh dokonywał swojego historycznego samotnego lotu przez Atlantyk. Ciągle jeszcze mam mój paszport wystawiony na tę podróż. Z Paryża pociągiem dotarliśmy do Berlina, gdzie przez kilka dni przebywaliśmy u Gottehrerów, kuzynostwa ze strony mojej matki, następnie przybyliśmy do Muszyny.

Dom i sklep moich dziadków, jak wiele innych domów w tym czasie, był drewniany z dużym oknem na frontowej ścianie. W moich snach i pamięci, podbudowanych pewnie uwagami mojej matki, dostrzegam to, co dwuletni dzieciak mógł widzieć, jako wielki pokój, choć w rzeczywistości był on małym pomieszczeniem. Po lewej stronie od frontowych drzwi była lada, poniżej której znajdowały się jeden lub dwa rzędy skrzyń, z galkami na wierzchu, umożliwiającymi nachylenie ich przy otwieraniu. Każda ze skrzyń zawierała jedną z wielu roślin strączkowych, jak suszony groch, fasola, a także różne ziarna zbóż. Jakżeż musiało to być intrygujące dla raczej żwawego, dwuletniego dzieciaka! Poza tym, w co jeszcze można było się bawić w tym dość pustawym pomieszczeniu? Moja matka lubiła wspominać, jak przy jakiejś okazji otwarłem skrzynię i zacząłem zabawiać się mieszaniem jej zawartości. Mój *Zajdę*, mój dziadek Eliezer, bardzo się zdenerwował, zdjął *kapel*, wielki czarny kapelusz, jaki nosiła większość pobożnych Żydów, i dostałem klapsa w tyłek. Aj waj, pobiegłem do mojej matki z płaczem: *Zajdę hot mir geszlugert! Zayde hit me!* (Dziadek mnie sprął). Z oczywistych powodów posługiwałem się wtedy na zmianę zarówno językiem jidysz, jak angielskim. Powiedziano mi, że opuszczając Muszynę po tym pobycie, zacząłem trochę mówić po polsku. Niestety, oprócz dziecięcej piosenki nie zachowałem znajomości tego języka.

Podczas rodzinnych spotkań, zapamiętanych z dzieciństwa, Mama, ciotki Tillie i Anna oraz wujek Lewi wspominali lata spędzone w Muszynie jako lata ubóstwa. Mój ojciec, jego brat i dwie siostry w podobny sposób określają warunki życia w Rychwał- dzie (dzisiaj Owczary). Matka ze szczególnym żalem wspominała mojego dziadka Eliezera Gottloba i określała go jako mądrego, wysokiego mężczyznę, noszącego długi czarny strój właściwy dla pobożnych Żydów, poważanego nie tylko przez członków żydowskiej społeczności, ale także przez mieszczan i przedstawicieli władz miasta, którzy zasięgali jego opinii w sprawach obywatelskich i szanowali ją. Ponadto moja matka często mówiła o chęci powtórzenia wizyty w pięknej Muszynie, nawet po Holokauście, chociaż wiedziała, że nie ma tam już nikogo z jej rodziny. Jej życzenie pozostało jako zadanie, które ja miałem spełnić.

Matka nazywała mnie zdrobniale Eluś, ale czasami zartobliwie wołała na mnie Elutek. Wyobraźcie sobie, że było to określenie bliższe językowi polskiemu niż jidysz. Moi rodzice używali polskiego jako sekretnego języka, kiedy nie chcieli, abym wiedział, o czym rozmawiają. Czasami, pragnąc zachęcić mnie do większej dyscypliny, nawet mówili o wysłaniu mnie do Polski podczas wakacji, kiedy nie uczęszczałem do szkoły. Ale było wiele polskich słów, które stały się częścią mojego słownika jidysz, a które zakodowały się w moim młodym umyśle, z czego zdałem sobie sprawę teraz, kiedy zacząłem studiować język polski. Wryły się w moją pamięć słowa: pasek, którego mój ojciec czasami używał, aby wzmóc dyscyplinę, zegar, tatuś, tak, paskudnik, pysk; zapewne używałem także innych słów, które uleciały z mej pamięci.



Zdjęcie wykonano prawdopodobnie w 1927 roku, kiedy to Mary Gottlob Mandel z jej dwuletnim synem Elmerem Julesem Mandelem odwiedziła Muszynę. Na ławce przed własnym sklepem spożywczym (towary kolonialne) siedzą Eliezer Gottlob i jego żona Chaja z domu Gottehrer. Dwie siedzące dziewczynki to córki Gizy Hausstock z domu Gottlob. Dziewczynka zwrócona profilem to córka Ruchel z domu Gottlob, nazwisko po zamążpójściu nieznane. Przez okno wygląda Dwojra, zwana też Dorą, Gottlob — wówczas panna. Była garbuską i doskonałą szwaczką specjalizującą się w drobnych ozdobnych tkaninach. Wszyscy zginęli podczas Holocaustu (fot. ze zbiorów E. J. Mandela).

Muszyna w Ameryce

Jedna z sióstr, która pozostała w Muszynie, została zapamiętana przez rodzinę w Ameryce dzięki jej haftom, które wykorzystywała do tworzenia pięknych obrazów. Duża kopia pracy Tycjana „Córka Lavinii” i mały haftowany obrazek, przedstawiający Mozarta przy pianinie, ze stojącą obok jego siostrą, wisiały na ścianach naszego salonu przez 55 lat, kiedy moi rodzice mieszkali w domu w Cleveland. Pozostałe prace były wysyłane do innych moich krewnych. Jej talent bezpowrotnie zabrała wojna.

Prawdopodobnie najważniejszym dziedzictwem, które moja matka zabrała ze sobą do Ameryki po 19 latach spędzonych w Muszynie, było jej doświadczenie w przygotowywaniu wielu wspaniałych potraw regionalnych. Jakże cudownie wspominam powroty ze znajdującej się w sąsiedztwie szkoły, jesienią, zimą i wiosną, do domu napelnionego aromatycznym zapachem zupy, pieczeni, gulaszu, albo pieczonych specjałów rozsiewających wspaniały zapach. Mamine pierogi, które nazywaliśmy „dumplings”, były bądź bez nadzienia (kluski), bądź wypełnione mieszaną ziemniaków i bryndzy. Przygotowując kluski, mama mieszała jajka i mąkę i wrzucała rzadkie ciasto chochlą do gotującej się, posolonej wody. Kiedy ugotowały się, były podawane z zupą pomidorową lub mleczną, podprawioną masłem, cebulą i pieprzem. Zupa mleczna stała się znowu rzeczywistością, kiedy z rodziną odwiedziłem Muszynę w roku 1977. Pierogi były robione z tego samego ciasta, rozwałkowanego i wycinanego następnie w kółka. Pamiętam, że były spore, polane roztopionym masłem. Ciągle tkwi we mnie pamięć cierpkiego smaku bryndzy.

Wśród maminych specjalności, obok rosółu z drobiu lub wołowiny, z dodatkiem pietruszki, marchwi, selera i cebuli, były zupa grzybowa oraz barszcz. Miałem wyjątkową okazję zakosztować zupy grzybowej, ponieważ do II Wojny Światowej otrzymywaliśmy od czasu do czasu woreczki suszonych grzybów, które przesyłali nam dziadkowie z Muszyny. Zapach tych kruchych i wysuszonych brązowych grzybów wypełniał pokój, kiedy otwierałem woreczek z nimi. O, jak wspaniale było je żuć. Jak cudowny był prawdziwy, zagęszczony kaszą rosół z kawałkami marchwi i cebuli oraz kawałkami ugotowanych, teraz miękkich, grzybów w ostry zimowy dzień, kiedy napadało co najmniej pół metra śniegu na ulice i trawniki, a koronkowe wzory mróz malował na oknach. W takie dni Mama lubiła wspominać, jak taka zima wyglądała w Muszynie. I zawsze upewniała się, czy ubieram barani kozuszek, jak w Muszynie, i czy zapiąłem starannie śniegowce przed wyjściem do szkoły.

Barszcz był robiony z gotowanych wcześniej buraków, następnie zaprawiany unikalnym zakwaskiem, a w końcu dodawano do niego pokrojone ugotowane buraki i kapustę. Czasami, jeżeli posiłek był beźmięsny, dodawaliśmy do gorącej zupy gęstą kwaśną śmietanę. Natomiast latem zupa ta była orzeźwiająca, podawana na zimno z solidną porcją kwaśnej śmietany.

Wśród głównych dań były pieczona cielęcina z chrupiącą skórką, zazwyczaj przyrządzana z bułkowo-pietruszkowym nadzieniem, mostek wołowy, jagnięce zrazy, gołąbki, kotlety cielęce w bułce tartej, a ponad wszystko wspaniałe, duże pieczone kurczaki, z których tłuszcz i części skóry były wytapiane z posiekaną cebulą na smalec oraz tak zwane *grivenes*, czyli zesmażone kawałki skóry kurzej. Kiedy w 1977 roku nasze dzieci ugryzły pierwszy kęs pieczonego

kurczaka na obiedzie w Krynicy, natychmiast stwierdziły: „Smakuje tak samo, jak u Babci”. Rzeczywiście, dobrze natarty czosnkiem i przyprawiony pieczony kurczak z chrupiącą skórką, smakował jak przygotowany przez Mirjam!

Chociaż Mama była ekspertem w gotowaniu karpia, zorientowała się już w czasie, kiedy byłem jeszcze maluchem w kołysce, że jestem uczulony nawet na zapach gotowanego karpia. Dlatego stał się on jedynie tematem dyskusji o przepisach kuchennych w trakcie rodzinnych spotkań.

Jako znawca wypieków, Mama udoskonaliła szereg przepisów ze starego kraju, zapamiętanych w trakcie jej dorostania w Muszynie. Pomijając typowe amerykańskie ciasta, Mama nie potrzebowała żadnych pisemnych wskazówek, aby przygotowywać to, co nauczyła ją jej matka Chaja. Dwa ciasta zajmują szczególne miejsce w mojej pamięci: jej ciasto orzechowe *kuchen* oraz jabłkowy strudel. Widzę ją mieszającą mąkę, dodającą jajka, drożdże i inne składniki, które ostatecznie dawały wielką lepiącą się masę, wydostającą się z miksera. Czas ugniatacia ciasta, który zdawał się nie mieć końca, w efekcie powodował, że lekka, żółta, miękka, oddziaływująca na zmysły masa zaczynała rosnąć. W momencie, kiedy podwoiła co najmniej swoją objętość Mama ugniatała ją, dzieliła na dwie porcje do pieczenia i wałkowała każdą z nich na prostokąt. Potem posypywała cynamonem, w końcu smarowała mieszanką posiekanych i utartych orzechów i zwijała ciasto w rulon. W momencie, kiedy ciasto ponownie urosło, oba placki wędrowały do pieca. Była to szczęśliwa chwila, kiedy wracając ze szkoły czułem zapach *kuchen*. A jaką rozkoszą było to ciasto ze szklanką mleka, taka porcja świeżego *kuchen* ze spiralnym słodkim orzechowym nadzieniem!

Każdy w rodzinie i wszyscy nasi przyjaciele wypatrywali maminych jabłkowych, wiśniowych, makowych, a nawet kapuścianych strudli. Duży stół w jadalni był przykrywany specjalnym obrusem. Mąka, dodawanie szczypty soli, wody tylko tyle, aby wymieszać składniki w klejącą masę. Wyjmowanie i ugniatacie na stole, aż krągła kula ciasta została uformowana. Po wygrzaniu w ciepłym miejscu, tłusta kula stawała się następnie przedmiotem rozciągania. Jakżeż zręcznie mama rozciągała małe kule ciasta, najpierw na dłoni, potem na wierzchu obu dłoni, a następnie na powierzchni stołu, aż stawały się cienkie jak papier. Pracując bardzo szybko, Mama skrapiała stopionym masłem i kruszonką ciasto, następnie posypywała bułką tartą, a na końcu kładła pokrojone jabłka, cukier i cynamon. Podnosząc jeden koniec obrusa zwijała strudel w długi rulon, który cięła następnie na porcje, układała je na brytfannie, posypywała po wierzchu kruszonką i wkładała do piekarnika. Za czasów mojej młodości nawet potrafiłem zrobić jabłkowy strudel.

Jeszcze jeden rodzaj ciastka wrył się w moją pamięć. Pewnego dnia jako ośmioletni dzieciak wróciłem ze szkoły, będąc pod wrażeniem przeczytanej opowieści o Ondrasz-ku i makowym ciasteczku. Poprosiłem Mamę o zrobienie tych małych okrągłych ciasteczek, co też uczyniła. I do dzisiaj zawsze, kiedy mam do czynienia z makowymi ciasteczkami, w mojej wyobraźni powraca opowiadanie o polskim chłopcu i jego makowych ciasteczkach.

Epilog

Jak wspomniałem w słowie wstępnym, pół wieku oddzieliło moją pierwszą wizytę w Muszynie, którą odbyłem jako dwuletnie dziecko, od mojego powrotu w sierpniu 1977 roku, kiedy to przybyłem tu wraz z moją żoną Trudę (Gertruda), synami: szesnastoletnim Rico i czternastoletnim Rene oraz trzynastoletnią córką Mimi, aby mogli zobaczyć piękną miejscowość przodków ich rodziców. Wspomniany Karol Rojna zapamiętał moich dziadków, opowiedział nam, jak zostali deportowani do Bielska-Białej i oprowadził nas zarówno po samej Muszynie, jak i po jej okolicy, w ciągu tych zaledwie trzech dni, które spędziliśmy razem. Pan Rojna powiedział nam o swym zamiarze zorganizowania wystawy, prezentującej przedwojenną muzyjską społeczność żydowską, w muzeum, nad którego rozwojem pracował. Obiecałem wtedy, że wyślę mu kopie osobistych fotografii i dokumentów dla potrzeb tej wystawy. Kiedy moja żona, artystka i emerytowana nauczycielka, zapytała go o miejscowych artystów ludowych, przede wszystkim zajmujących się ceramiką, pan Rojna zapoznał nas z siedemdziesięcioletnią wówczas panią Kunegundą Jeżowską, która tworzyła ceramiczne figurki, przedstawiające osoby w tradycyjnych męskich i damskich ubiorach przedwojennej żydowskiej społeczności. Pani Jeżowska była łaskawa pokazać nam swoje prace, ale nie była chętna do rozstania się z którąkolwiek z nich. Jednak pan Rojna zrobił nam miły prezent, darując dwie figurki, znajdujące się w jego posiadaniu.

Podczas następnego pobytu w Muszynie w roku 1998, gdy zapytaliśmy panią Marię Barabaś-Pyrć o twórców zajmujących się ceramiką, skierowała nas do domu Aleksandry, córki pani Jeżowskiej, zięcia pani Jeżowskiej oraz jej męża Feliksa, który na szczęście znał trochę niemiecki, bo nauczył się go będąc więźniem niemieckim podczas wojny. To było bardzo ciepłe spotkanie, nasz wpis w ich księdze pamiątkowej, dokonany w roku 1977, nadal w niej figurował, a Aleksandra wspominała, jak to nasza córka Mimi biegała po podwórku za kurczakami.

Jakie jest dziedzictwo Eliezera i Chaji Gottlobów? W Stanach Zjednoczonych dzieci Tillie, Leonarda, Lewisa, Anny, Marii, wnuki i prawnuki Eliezera i Chaji zostały prawnikami, pracownikami administracji socjalnej, rektorami renomowanych uniwersytetów, doradcami imigracyjnymi, dziennikarzami, muzykami, psychologami, dentystami, specjalistami komputerowymi, badaczami zaawansowanych technologii, biologami, fotografami, i administratorami szkół publicznych. Ich służba dla dobra społeczeństwa byłaby stracona dla świata, gdyby wszystkie dzieci Eliezera i Chaji pozostały w Muszynie.

Jeszcze raz chciałbym wyrazić serdeczne podziękowanie za stworzenie mi możliwości oddania szacunku rodzinie Gottlobów - Gottehrerów na łamach *Almanachu Muszyny*.

Kończę te wspomnienia z pragnieniem i nadzieją, że zaci ni obywateli Muszyny będą mieli sposobność w jakiś sposób uczcić zasługi swych byłych żydowskich sąsiadów, obywateli Polski przed wydarzeniami II wojny światowej, które doprowadziły do ich zagłady. Można by rozważyć stworzenie specjalnego dokumentu, prezentującego wkład żydowskiej społeczności do rozwoju ekonomicznego, społecznego i kulturalnego Muszyny. Taka forma upamiętnienia, zgodna z duchem przesłania wyrażonego przez Jana Pawła II w liście z 12 marca 1998 roku, zamieszczonym poniżej, przyniosłaby zaszczyt i uznanie zacyim mieszkańcom Muszyny, a także stanowiłaby dla potomków Eliezera i Chaji Gottlobów oraz pozostałych członków

przedwojennej żydowskiej społeczności Muszyny szczególny rodzaj podsumowania ich dziejów w tym mieście.

Tłumaczenie z języka angielskiego
R. Kruk & Z. Borzymińska

LIST JANA PAWŁA II DO KARDYNAŁA CASSIDY’EGO

Do czcigodnego brata Kardynała Edwarda Idrisa Cassidy’ego.

Przy wielu okazjach w czasie mojego pontyfikatu, z głębokim bólem przywoływałem cierpienia narodu żydowskiego podczas II wojny światowej. Zbrodnia, znana jako Shoah, pozostaje nie dającą się zatrzeć plamą w historii kończącego się stulecia.

Przygotowując się do rozpoczęcia trzeciego tysiąclecia chrześcijaństwa, Kościół jest świadomy, że radość Jubileuszu jest nade wszystko radością opartą na przebaczeniu grzechów i pojednaniu z Bogiem i z bliźnimi. Dlatego Kościół zachęca swoich synów i córki, by oczyszczali swoje serca przez pokutę za błędy przeszłości i niewierności. Kościół wzywa chrześcijan, by pokornie stanęli przed Panem i dokonali rachunku sumienia z win, jakie ponoszą za zło obecne w naszych czasach.

Żywię głęboką nadzieję, że dokument „Pamiętamy: refleksja nad Shoah” przygotowany przez Komisję ds. Kontaktów Religijnych z Judaizmem, pomoże uleczyć rany nieporozumień i niesprawiedliwości. Niech ten dokument uzdolni pamięć, która odgrywa zasadniczą rolę w procesie kształtowania przyszłości, aby niewypowiedziane zło Shoah nie mogło się nigdy więcej powtórzyć. Niech Bóg historii wspomaga wysiłek katolików i Żydów oraz wszystkich ludzi dobrej woli, budujących wspólnie świat prawdziwie szanujący życie i godność każdej istoty ludzkiej, stworzonej na obraz i podobieństwo Boga.

Watykan, 12 marca 1998 rok

Jan Paweł II, papież

Tłumaczenie: Katolicka Agencja Informacyjna